

Wojownik leży krzyżem



Gdy się uniżasz, to Bóg wylewa na całą twoją rodzinę swoje miłosierdzie. Nakłada na twój palec pierścień godności syna i córki króla i zabiera brudne szaty grzechu. O niezwyklej mocy modlitwy uniżenia z ks. Dominikiem Chmielewskim, salezjaninem rozmawia Weronika Pomierna.

Ks. Dominik Chmielewski jest salezjaninem i duszpasterzem akademickim na UKSW. Zanim został kapłanem, przez 15 lat trenował karate

Weronika Pomierna: Sobotni wieczór w klubie. Trzeba wejść do środka i podejść do osoby stojącej po lewej stronie sali. Jak wyglądałaby ta czynność 20 lat temu?

Ks. Dominik Chmielewski: Przede wszystkim koncentracja. Na pewno nie skręciłbym od razu w lewo, ale obszedł filar sporym łukiem, żeby mieć pewność, że nie dostanę niespodziewanego ciosu. Po 15 latach trenowania karate mój umysł był przygotowany do tego, żeby w każdej chwili móc stoczyć walkę na śmierć i życie. Oczywiście nie podejmowałbym jej, jeśli moje życie nie byłoby zagrożone. Jeśli jednak pojawiłoby się realne niebezpieczeństwo, to byłbym gotowy na wszystko. Każda czynność była podporządkowana tej mentalności. Sposób, w jaki siadałem, zamykałem drzwi. Czulem dyskomfort, gdy siedziałem w restauracji i nie obserwowałem wszystkich ludzi. Dzisiaj ludzie często atakują pod wpływem narkotyków, nie czują od razu bólu. Człowiek na amfetaminie dopiero po kilkunastu sekundach czuje ból zadany przez kopnięcie na przykład w jądra. Przez ten czas jeśli wyjmie nóż, to może cię zabić.

Na ulicy nikt nie lituje się nad tobą. Uczyłem się najskuteczniejszych, bardzo brutalnych technik – wykluwania oczu, przegryzania tętnic, skręcania karku, ataków na najbardziej niebezpieczne punkty w ciele człowieka. Trenowaliśmy specjalny okrzyk, który na ułamek sekundy eliminuje naturalną barierę, którą ma każdy człowiek przed zadaniem bólu czy zabiciem przeciwnika. Wyobraź sobie, że trenujesz w ten sposób 2–3 razy dziennie, plus często trening nocny. Robiliśmy też specjalne ćwiczenia mentalne związane z eliminacją jakiegokolwiek lęku. Zdarzało się wtedy, że kumple, z którymi walczyłem, przerywali walkę i mówili wprost: „Człowieku, co ty masz w oczach? Nie będę z tobą walczył. Ty mnie zabijesz”.

Nie oni jedni zauważyli tę transformację.

Kiedyś odwiedziłem przyjaciela naszej rodziny, benedyktyna o. Karola Meissnera. Powiedział mi: „Dominik, co stało się z twoimi oczami?”. Nie wiedziałem, co ma na myśli. Byłem wtedy zupełnie pochłonięty sztukami walki. Gdy miałem 21 lat, zostałem dyrektorem technicznym ds. karate w Polskim Związku Sztuk Walki. Zakładałem swoje własne szkoły walki. Mimo fascynacji karate nigdy nie odszedłem jednak od codziennej modlitwy. Studiowałem filozofię i teologię, byłem animatorem w Odnowie w Duchu Świętym i oazie. Choć duchowo czulem się wojownikiem Dalekiego Wschodu, nie podawałem w wątpliwość, że chrześcijaństwo jest prawdziwe. To pokazuje, jak ważne jest duchowe zakorzenienie rodziny. Gdy moja mama była ze mną w ciąży i dowiedziała się, że moje życie jest zagrożone, oddała mnie całkowicie Maryi. Urodziłem się zdrowy. Gdy przez te wszystkie lata trenowałem rano tak, żeby mieć pełną kontrolę nad swoim życiem, w pokoju obok mój tata czytał Biblię i powierzał nas Bogu. W 1995 r. dostałem zaproszenie na wyjazd do Medjugorie. Kościół nie wypowiedział się jeszcze ostatecznie co do prawdziwości objawień, ale właśnie tam nastąpił totalny duchowy przełom, w wyniku którego zostałem kapłanem, salezjaninem.

Jak zareagowała rodzina?

Nie mogli mnie poznać. Doświadczyłem tam bardzo mocno obecności Pana Boga i Maryi. Pamiętam, że zaraz po powrocie zupełnie zapomniałem o zgrupowaniu dla czarnych pasów, które miałem prowadzić. Gdy przyjechałem na szkolenie, miałem przypięty do pasa różaniec. Powiedziałem: „Dzisiaj nie będzie żadnej medytacji, ale wszyscy odmówimy dziesiątkę Różańca”. Chłopcy byli w ogromnym szoku. Potem tradycyjnie pokazywałem, jak zabić człowieka na 30 sposobów, a na koniec powiedziałem, że to przecież nie o to chodzi w życiu, ale o to, żeby doświadczyć tego, że Bóg nas wszystkich kocha. Patrzyli na mnie osłupiali. Potem poszliśmy do pubu. Opowiadałem, im co przeżyłem w Medjugorie. Mówili: „Fajnie byłoby przeżyć to, co ty”. Pomodliliśmy się spontanicznie tam, w pubie, żeby chłopcy mogli doświadczyć miłości Boga.

To byli twardzi faceci ze stopniami mistrzowskimi. Nie widziałem, żeby kiedykolwiek pękali, a po tej modlitwie niektórzy ukradkiem popłakali się. Wiedziałem, że choć praktykowali zen i różne inne sposoby doskonalenia umysłu oparte

na duchowości Dalekiego Wschodu, nie doświadczali pokoju serca i miłości. Sam, gdy medytowałem, czułem się tylko pozornie spokojny. To było bardziej zobojętnianie na rzeczywistość, bycie skoncentrowanym całkowicie na sobie, choć w teorii medytacja miała prowadzić do czegoś odwrotnego. W ciągu tych 15 lat spotkałem ludzi, którzy trenowali na wysokim poziomie zaawansowania. Na zewnątrz byli oazą spokoju. Bliższy kontakt pokazywał smutną prawdę ich życia – rozbite małżeństwa, złość i irytację, niekontrolowaną agresję i egocentryzm. Środowisko sztuk walki jest bardzo skłócone, co najlepiej pokazuje, jak wygląda rozwój duchowy poprzez sztuki walki.

A co ze stanem gotowości do walki? Nie dawał się dalej we znaki?

Modlitwa była papierkiem lakmusowym. Już wcześniej na Mszy pojawiała się masa rozproszeń. Myślałem sobie, patrząc na innych w kościele: gdyby ten człowiek zaatakował mnie teraz tak, to tak bym zareagował. I tak przez całą Mszę. Po doświadczeniu duchowym w Medjugorje pojawił się niepokój w sercu w czasie kolejnych treningów. Trafiłem wtedy na siostrę zakonną, benedyktynekę, która po dłuższej rozmowie powiedziała mi: „Maryja ma dla ciebie wspaniały plan, ale tym, co ciebie od Niej oddziela, jest sztuka walki i to, jak ją trenujesz”. Postanowiłem zrezygnować z karate. Nie można oczywiście uogólniać, że wszystkie sztuki walki są zagrożeniem duchowym dla chrześcijanina. Zależy to od stylu, mistrza i sposobu, w jaki się trenuje. Jest ogromna różnica między np. samoobroną, sportami walki, a sztuką walki, którą ja trenowałem. To był trening całkowicie związany z duchowością Dalekiego Wschodu, nie do pogodzenia z chrześcijaństwem.

Uczestnicy rekolekcji, które Ksiądz prowadzi, mówią o wielkiej mocy modlitwy pokuty i uniżenia. Czy to, w jakiej pozycji ciała modlimy się, ma aż tak duży wpływ na skuteczność modlitwy?

Tu nie chodzi o pozycję ciała, choć ona też wiele wyraża, ale o uniżenie całego człowieka przed Panem Bogiem. Gdy studiowałem życiorysy świętych, mistyków, ludzi, którzy wszystko uzyskują od Pana Boga, o cokolwiek poproszą, to zauważyłem, że oni wszyscy modlą się w nocy i bardzo często leżą krzyżem. Noc jest uprzywilejowanym czasem, kiedy kosztem naszego snu wstajemy i wołamy do Boga. Bohaterowie biblijni, którzy wstawiali się za cały naród i uzyskiwali niezwykle łaski, modlili się w pokorze i w całkowitym uniżeniu, leżąc twarzą do ziemi. Kiedyś to była normalna forma modlitwy, dziś jest prawie zapomniana.

Kilka lat temu pomagałem znajomemu księdzu egzorcyście. Razem z grupą kilkunastu osób przez kilka lat modlił się nad dziewczyną o uwolnienie. Nic nie pomagało. Diabeł mówił jej ustami: „Kim ty jesteś, żeby mnie wyrzucić? Nie masz wiary”. Pewnego dnia spóźniłem się na egzorcyzm. Założyłem stulę, wszedłem do bocznej kaplicy, poszedłem przed Najświętszy Sakrament i usłyszałem w sercu, żebym położył się krzyżem i przeproszał w całkowitej pokorze za grzechy swoje, tej kobiety i jej rodziny. Kiedy położyłem się na ziemi i zacząłem się modlić, w kościele odezwał się ryk: „Klecho, świnio, kto kazał ci się tak modlić?!”. Gdy egzorcysta usłyszał to, powiedział, aby wszyscy położyli się krzyżem i przeproszali za swoje grzechy. Gdy to zrobili, zaczęła się prawdziwa jazda. Słyszeliśmy: „Miażdżycie mnie, nie mogę wytrzymać! Skąd wiecie, że tak trzeba się modlić?”.

Ta kobieta w ciągu kilkunastu minut została uwolniona. Zobaczyliśmy niesamowitą skuteczność tej modlitwy. Często w czasie rekolekcji dla małżeństw w kryzysie robię nocną adorację dla małżonków. Proponuję, aby razem spędzili 30 minut, leżąc krzyżem przed Najświętszym Sakramentem, trzymając się za ręce i przepraszając Boga za grzechy, które niszczą ich miłość. Kiedyś, gdy zaproponowałem to, podszedł do mnie mężczyzna i powiedział: „Ja nie mam za co przeproszać mojej żony. Jestem świetnym mężem, nie klóćmy się, więc ja nie przyjdę na tę modlitwę”.

Powiedziałem mu, że do niczego nie zmuszam, ale zasugerowałem, żeby to przemyślał. Następnego dnia po adoracji podbiegł do mnie, prosząc o spowiedź. Opowiadał, że żona bardzo nalegała, żeby wstał i poszedł z nią o 3.00 w nocy się modlić. Mówił, że jest zmęczony, ona nie ustępowała: „Chodź ze mną, sama nie pójdę”. Zgodził się. Położyli się krzyżem. Niewygodna posadzka – jak tu się ułożyć, żeby nie bolało? Czuł się bardzo dziwnie, liczył na sen. Po kilku minutach poczuł, że jego ciało zaczęło drżeć. Zaczęło mu się robić na zmianę zimno i gorąco. Myślał, że to zawał. I nagle wszystko zaczęło mu się przypominać. Sytuacje, gdy ranił żonę i niszczył ją swoją pychą. Zobaczył to wszystko jak na filmie. Gdy wrócił do pokoju, zaczął to spisywać. Rano pokazał mi dwie kartki zapisane drobnym maczkiem. Ten człowiek jeszcze 12 godzin wcześniej mówił, że nie ma żadnych grzechów!

No ale gdyby ktoś leżał krzyżem na podłodze w kościele w ciągu tygodnia, zaraz podszedłby jakiś życzliwy człowiek i zapytał, co to za cyrk.

Nie chodzi o to, żeby leżeć krzyżem i myśleć: „Ale ze mnie święty”. Prorocy tacy jak Daniel wychodzili na pustkowie. Módl się w swoim pokoju, gdy nikt cię nie widzi, leżąc krzyżem na podłodze i przepraszając Boga za swoje grzechy, za grzechy

swojej rodziny i przodków. Mów do Boga prostymi słowami: „Jezu, zmiłuj się nade mną”. Ważne, żeby utożsamiać się też z grzechem tych, za których się modlimy. Prorok Daniel, mimo że w Biblii nie ma mowy o jego wykroczeniach, mówił: „Przebacz nam nasze grzechy”. Nie wywyższał się, nie modlił się z pozycji lepszego niż inni. Taka modlitwa skruszonego serca to powrót do pięknych praktyk świętych, którzy byli bardzo skuteczni na modlitwie. Pokuta ma moc łamania skutków grzechu. Grzech wyspowiadany a odżałowany to dwie różne rzeczy. Bóg mi wybacza, ale ja muszę jeszcze zadośćuczynić Jemu i ludziom. Ta symboliczna modlitwa po spowiedzi to wstęp do pokuty. Pokuta rozpoczyna się od żałowania sercem za grzechy moje, mojej rodziny, przodków. Nie musimy ich znać, choć często widzimy ich skutki. Na przykład ktoś nie radzi sobie z czystością, jest uzależniony od pornografii, modli się, ale to jest silniejsze od niego. Potem dowiaduje się, że jego ojciec zdradzał mamę. Puzzle się układają. Wtedy trzeba walczyć z duchem nieczystości przez pokutę. Znam ludzi, którzy latami nie mogli poradzić sobie z nałogiem, próbowali wszystkiego. Rozpoczęli praktykę leżenia krzyżem w uniżeniu i odrywają się od swoich grzechów w sposób nieprawdopodobny.

Tylko czy taka regularna pokuta nie działa na człowieka dołująco? Myślimy wtedy tylko o naszych grzechach.

To tak jak ze śmiercią Jezusa. Nie można zatrzymać się tylko na cierpieniu, zaraz jest zmartwychwstanie. Gdy pokutujesz, otrzymujesz tak potężną miłość i czułość Boga, jakiej nie doświadczasz na żadnej innej modlitwie. Gdy się uniżasz, to Bóg wylewa na całą twoją rodzinę swoje miłosierdzie. Zabiera poczucie winy, nasz lęk przed Nim, podnosi i stwarza na nowo. Wywyższa i daje nową tożsamość. Nakłada na twój palec pierścień godności syna i córki króla i zabiera brudne szaty grzechu. Nakłada na ciebie królewską szatę Jezusa. Od tej pory jesteś księciem i księżniczką. Piekło boi się takiego człowieka, stworzonego na nowo przez Boga poprzez pokutę i miłosierdzie Boże.

Musimy być przekonani o naszej godności i wartości, którą dała nam łaska chrztu. Jeśli myślisz o sobie, że jesteś beznadziejnym grzesznikiem, to będziesz popełniał kolejne grzechy, bo to i tak nic nie zmieni. Gdy atakuje pokusa, trzeba pamiętać, że jesteś dzieckiem Boga. Zadaj sobie dwa pytania: Jak wspaniały jest mój Tata? Kim ja jestem, jaką mam niewiarygodną wartość? I powiedz sobie: Jesteś zbyt wspaniały, żeby wejść w bagno grzechu. Gdy masz świadomość, jaka jest twoja nowa tożsamość, wartość i godność umiłowanego syna i córki Króla Wszechświata, to zrobisz wszystko, żeby uniknąć najmniejszego grzechu. Pomimo że grzeszysz, musisz być pewien, że grzesznik to nie jest twoje imię. Jesteś synem i córką Boga, narodzonym na nowo w Maryi przez Ducha Świętego na wzór Jezusa! Objawiaj światu królewski styl życia Jezusa! To jest twoja nowa tożsamość, nigdy o tym nie zapominaj.

[GN 27/2014](#) |